

ROK XXVI NR 17/616 1982 R. CENA 15 ZŁ

karuzela

- jak rozwiązuje
pani problem
wolnego
czasu?





WACŁAW POTOCZEK

Jedyne wyjście

Nie na próżno Sokrates nawoływał do poznania samego siebie, widząc w tym klucz do porozumienia się ze światem. Często jednak rzeczywistość nie przylega do tych marzeń. Oto fragment długiego listu Czytelnika z Krakowa:

„Szef, człowiek diablo ambitny, a przy tym kawaler bez żadnych obowiązków rodzinnych, ma fioła na punkcie pracy zawodowej, która – w jego opinii – powinna i mnie, jego zastępcę, wchłaniać bez reszty. W domu mam inne problemy: żona czuje się zaniedbywana, albowiem w jej mniemaniu – praca to tylko dodatek do pensji. Co gorsze – stawia mi przesadne, wygórowane wymagania seksualne. Jak w tej sytuacji uniknąć rozvodu?”

– Poznać żonę z szefem.

Kosztowne dziury

Tak zwane usługi dla ludności – szaleją! Doszło do tego, że od wstrzelonego w ścianę kółka trzeba płacić

80 złotych, od otworu wyborowanego elektryczną wiertarką – stol Niejeden, oczywiście, sam mógłby zrobić w ścianie dziurę, gdyby miał odpowiedni sprzęt. Niestety, jest on kosztowny i trudno dostępny na rynku. W ogóle obecnie nie ma tanich dziur. Jest tylko jedna, którą każdy z nas ma za darmo:

– Dziura w budżecie domowym.

Procent szczęśliwych

Z sondaży Instytutu Gallupa wynika, że tylko 26 procent Brytyjczyków uważa się za ludzi szczęśliwych, we Francji wskaźnik szczęśliwych spadł do 19 proc., w RFN – do dziesięciu. Jak jest u nas – nie wiadomo, poza jednym konkretnym przypadkiem niejakiego Ferdynanda B. z Wrocławia. Oświadczył on, że jest szczęśliwy w 100 procentach, kiedy ujrzał zrabowany mu w restauracji, a odzyskany przez milicję pamiątkowy portfel z krokodylęj skórki. Nie interesowała go wcale zawartość portfela, ale cie-

szyl się jak dziecko, widząc na pochewce nietknięty przez kieszonkowca monogram w kształcie serduszka, sporządzony własnoręcznie rączką narzeczonej. A dużo miał pan pieniędzy? – spytano dla formalności.

– Ech, drobiazg – odparł pan Ferdynand – dwieście pięćdziesiąt pięć tysięcy.

Przyszłość maluchów

Po dobry dziecięcy wózek spacerowy doświadczeni pediatrzy radzą młodym matkom jechać do Krakowa. Ale podobno w Krakowie po wózek czeka się w kolejce rok i dłużej. W innych wózkach, choć kosztują nieraz 6 czy 8 tysięcy (!) dziecko czuje się źle, nie może zasnąć, a co gorsze – grozi mu skrzywienie kręgosłupa. Pozostają więc dwa rozwiązania: albo ktoś poważnie zajmie się wytwarzaniem dobrych (i możliwie tanich) wózków dziecięcych, albo trzeba będzie w przyszłości zwiększyć produkcję innych wózków.

– Inwalidzkich!

Zamiast ryb

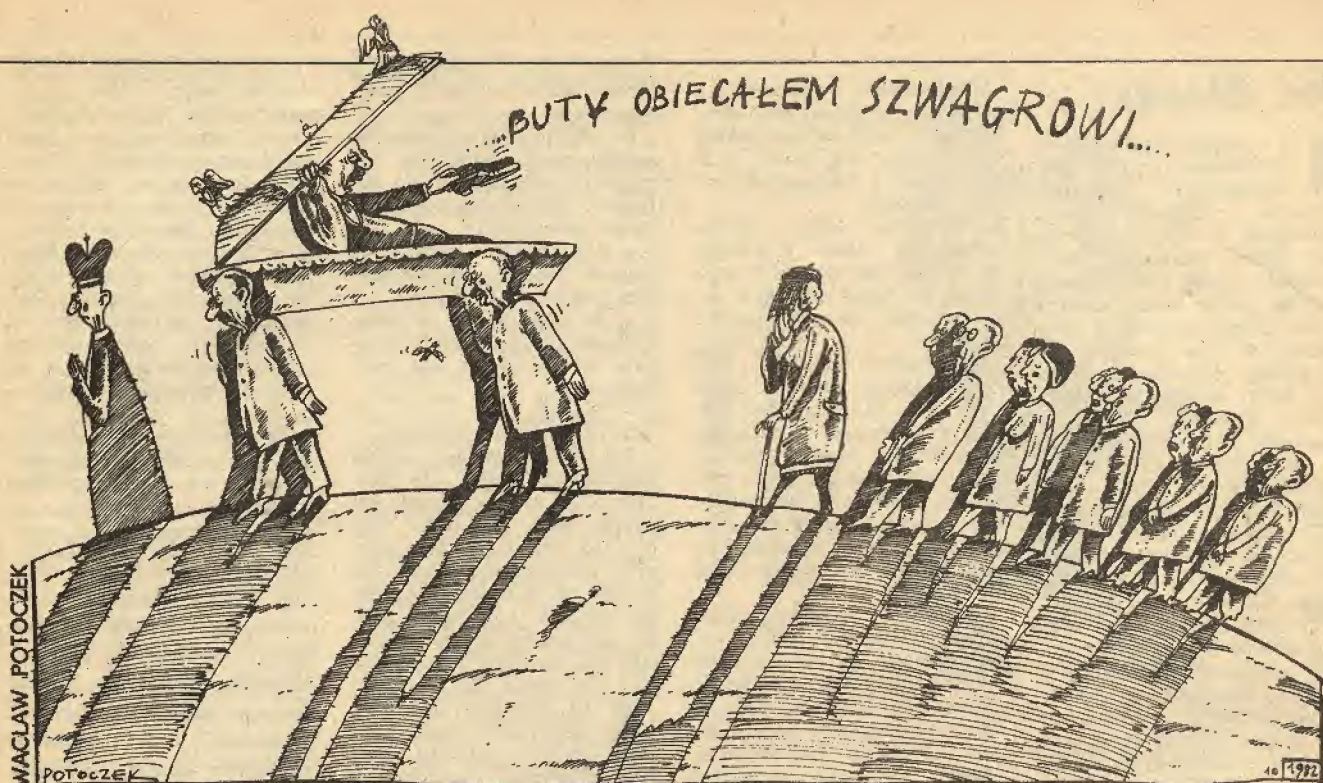
Latem br. w Belchatowie otwarto sklep rybny. Było to niemałe wydarzenie, bowiem większość mieszkańców tej dużej osady górniczej ujrzała ryby po raz pierwszy nie na obrazku, lecz w naturze. Od tego czasu minęły długie tygodnie i w Belchatowie znova jest bezrybie, choć – jak się rzekło – warunki do handlu rybami są:

– Jest kierownik, są dwie ekspedientki i trzy szafy chłodnicze...

Optymistyczna prognoza

Rozdzielnictwem surowców, czego nie potrafiła robić dobrze Komisja Planowania ani resorty, zajmie się teraz Urząd Gospodarki Materialowej. Pesymiści biadają jednak, że ta właśnie instytucja nie umiała nawet zorganizować skupu makulatury i butelek.

– Ale robiła to z wdziękiem – przypominają optymiści.



- Gdzie błądzą swoi,
tam łatwiej trafiają obcy.
- Przez pracę — dzień krótszy;
przez lenistwo — życie.
- Drobne ziarna — na dole,
grube — na górze,
a plewy i tak zawsze na wierzchu.
- Ludzkość spieszy się coraz bardziej.
Oby tylko nie wyprzedziła człowieka!
- Żeby pukać trzeba najpierw mieć
coś twardego.
- Niekiedy wystarczają — głowa i palec.
- Gdzie dwóch się bije, tam zaraz
trzech bohaterów i dziesięciu
zasłużonych.
- Lepsze minimum z maksimum,
niż maksimum z minimum.

WŁADYSŁAW GRZESZCZYK

Kazimierz Żygulski

min. kultury i sztuki

objął resort z całym багаżem doświadczenia swych poprzedników, pułkownika Sokorskiego i działacza Teichmy. Nowy minister winien wnieść wartości płynące z warsztatu naukowca (socio-log kultury).

Wszystko zależy od tego ile kultury zastosuje on w sztuce i czy uda się sztuka z kulturą.

Stanisław Kukuryka

min. budownictwa i przemysłu
materiałów budowlanych

Na razie wiemy czego nie należy oczekiwać od nowego szefa resortu. Zamków na lodzie, mostów dla pana starosty, drugiej Japonii.

A ponieważ jesień mamy piękną, więc obfitość grzybów, szczególnie zaś obrodził w naszych mieszkaniach grzyb budowlany.



IBIS-GRATKOWSKI

o nich się mówi

Jak spekulowano zabawnym towarem?

Kiedy, jako początkujący humorysta, odwiedziłem zagraniczną redakcję czasopisma satyrycznego byłem zdumiony serdecznym, wręcz wylewnym przyjęciem, podczas którego czułem się tak, jakbym był co najmniej europejską sławką.

— Nie dziw się, mój drogi — rzekł nestor gospodarzy. — Na całym świecie musimy żyć jak bracia, gdyż satyrycy należą do niepopularnej mniejszości. Władze podejrzliwie patrzyły, patrzą i zawsze będą patrzeć nam na ręce, a czytelnicy traktują humorystę z lekceważącym niedowierzaniem. Jeśli my nawzajem nie będziemy poważać się i pomagać jeden drugiemu, to gorze nam!

W miarę upływu lat coraz pełniej rozumiałem te gorzkie słowa i przekonywałem się, że brak sympatii i życzliwego zainteresowania dziennikarzom tej niewdzięcznej specjalizacji towarzyszy aż poza grób. Dlatego też chciałem do publicznej wiadomości podać garść opowieści, ciekawostek i dyktarek wygrzebanych w trak-

cie poszukiwań materiałów do śmiertelnie poważnej pracy naukowej zajmującej się tą niepoważną prasą okresu międzywojennego. Okazało się bowiem, że nawet w zakresie tych badań musimy, „niepopularna mniejszość”, być zdani na własne siły i sami zabiegać o wydobyć z niepamięci naszych poprzedników.

Wielkie było moje zdumienie, kiedy stwierdziłem, że nawet nie ustalona była ilość wesółych tych i zadziornych czasopism, które wówczas wydawano. Zabrałem się więc do pracy. Na pierwszy ogień poszły periodyki bardziej znane, wychodzące co najmniej parę lat, potem zaczęła się lawina fiszek, notatek i zapisków dotyczących „humorystycznej, drobny”. Każdy dzień szperania w archiwach i bibliotekach przynosił nowe i nieoczekiwane odkrycia. Wreszcie, bliski rozpaczy, zdecydowałem się przerwać sporządzanie tej listy na dwustu dziewięciu starannie udokumentowanych pozycjach, z których aż sto czternaście czasopism nie

Janusz Peciak

Przejsz przez życie pięciobojem —
Ja się nawet jednym boję.

LANCET



IBIS-GRATKOWSKI

na ofsjdzie

ŚNIK MI SIĘ WOREK
PEKEN KARTEK PII
Z NIE NYCIĘTYM
ALKOHOLEM...!!



ANDRZEJ STOK

wychodziło dłużej niż rok. A nie uwzględniłem tam przecież jednodniówek!

Teraz nastąpił czas uważnego przypatrzenia się zgromadzonej kolekcji tytułów. Czegoż tam nie było! „Ab-racadabra” i „Wesoły Bud-żet”, „Żdziebelko” i „Szubrawiec”, „Dyszel w Głowie” i „Bociek Kratoszyński” oraz aż cztery pisma noszące tytuł „Diabeł”, nie licząc „Rogatego”, „Boruty” itp.

Wydawcami tej czeredy były osoby prywatne, koncerny prasowe, partie polityczne, zrzeszenia zawodowe, akademickie, a nawet stowarzyszenia religijne. W niektórych przypadkach dobra wola właścicieli szła w parze z nieporadnością redaktorów, przynosząc natychmiastową plajkę przedsięwzięcia.

Prawda, że nie brak było i wydawców-pająków umiejących korzystać nawet z kryzysu i bezrobocia, a także z tego, że ludzie w trudnych momentach byli zła-nieni śmiechu i rozrywki w nie mniejszym stopniu niż chleba.

Z satysfakcją, iż w warunkach obecnego kryzysu nie mam do czynienia z tym rodzajem spekulantów i na-ciągaczy — przypominę ów typ dość rozpowszechniony, zwłaszcza w pierwszej połowie lat trzydziestych.

Oto w czasie wielkiego kryzysu pojawili się organi-

zatorzy redakcji, którzy — wykorzystując niedostatek zamówień w drukarniach, możliwość kredytowego zdobycia papieru, a przede wszystkim zapotrzebowanie czytelnicze — rozpoczynali wprowadzanie tytułu „na rynek. Rzecz jasna — zamieszczane utwory to tylko dzieła samego redaktora albo korsarskie przedruki z dawnych, czasem już polikwidowanych czasopism. Po zainkasowaniu gotówki z tytułu sprzedaży kilku numerów rzutki wydawca, redaktor i autor w jednej osobie — ulatniał się. Zmieniał mieszkanie, drukarza, tytuł pisma, ewentualnie szukał dalszych wierzyteli celem wydłużenia pożyczek na zaliczki dla nowych kłiszarni, drukarni etc. i cała afra zaczynała się od początku. Niektórzy „przedsiębiorcy” tak zasmakowali w podobnym procederze, że latami ciągnęli zyski z tego typu wyludzeń.

Kiedy uświadomiłem sobie rozmiary zjawiska, przestałem się dziwić ogromnej ilości czasopism satyryczno-humorystycznych na ziemiach Drugiej Rzeczypospolitej i zrozumiałem dlaczego powierzchowne zetknięcie się z tą problematyką wywołuje wrażenie bogactwa tytułów, bujnego życia wydawniczego i zróżnicowania politycznego redakcji.

BOHDAN PIĄTKOWSKI

NIEBO W GĘBIE

W sobotni poranek wpadł do mnie Heniek jak bomba.

— Ratuj! — zawołał. — Ojciec przysłał mi telegram, abym mu pomógł przy wykopkach ziemniaków, a ja mam w baku tylko litr benzyny. Na mój numer rejestracyjny będę mógł wziąć dopiero pojutrze, a dzisiaj właśnie twój dzień... — spojrzał na mnie błagalnie.

Zwlokłem się z łóżka. Dwoma samochodami podjechaliśmy pod stację benzynową.

Tłumacząc panu w niebieskim kombi-
nezonie, żeby „kartkę benzynową” ostemplował mnie, a płyn wlał do malucha sąsiada.

— Nie mogę — on na to. — Odnośne przepisy nie pozwalają.

— Rozumiem, ale jest stan wyższej konieczności. Kartofle nie mogą czekać, a wodę przecież pan lubi. Bądź pan człowiekiem!

Człowiek to brzmi dumnie, ale w literaturze i na akademiach, toteż on powtarzał ze stoickim spokojem:

— Przepisy nie pozwalają. Ja napelnę bak, a potem sobie panowie porzelewają.

Co było robić... Usłużnie podał nam, a jakże, konewkę, abyśmy się zbytnio nie męczyli. Stanęliśmy w odległości jakichś dziesięciu metrów.

Odkręciłem bak, Heniek zanurzył rurkę w zbiorniku, a jej drugi koniec

wziął do ust. Zdrowo pociągnął, bo aż w ustach mu zabulgotało.

— Cholera, jakie to świństwo! — zaharczał spluwając.

Ale zaczęło już cieć. Opornie — po dwóch litrach operację trzeba było powtórzyć i miała ona podobny przebieg. Heniek znów zakrzuszył się benzyną. Ostatecznie jakoś — po pół godziny — uporał się z zadaniem.

Wrócił ze wsi następnego dnia wieczorem i też wpadł do mnie, choć może już nie jak bomba, ale, powiedzmy, granat.

— Miałem kłopoty w drodze! — zawołał.

— Nie starczyło ci benzyny?

— Starczyło, ale zahaczył mnie patrol milicyny. Kazano mi chuchnąć. „Panie, zawołał milicjant, cóż to za wstrętny bimber pił pan z samego rana? Będzie pan dmuchał w baloniki!” No i dmuchałem. Początkowo chciałem wytłumaczyć, że to nie bimber, ale benzyna. Bałem się jednak, że wpakuje mi mandat. Może benzyna kierowcom też pić nie wolno?

— I co było dalej?

— W porządku. Próba niczego nie wykazała, ale milicjant pogroził mi palcem: „Już ja sobie pana dobrze zapamiętam!”

P.S. Tekst ten ciepło dedykuję stacji benzynowej nr 527 w Lublinie. Konewkę oddaliśmy. Dziękujemy!



ZBIGNIEW SZULC

ANDRZEJ DREŻEWSKI
(debiut)

SIEROTA

Dotychczas wykonywane przeze mnie zawody nie dawały mi satysfakcji, ani dostatecznych pieniędzy. Postanowiłem tedy zostać sierotą. Decydując się na nową, a tak opłacalną profesję wiedziałem, że konkurencja jest silna.

Eliminowanie członków rodziny rozpoczęłem nieśmiało od wuja Karola, informując listownie mieszkańców drugiego obszaru płatniczego, że z powodu kosztów leczenia i pogrzebu zębrze na ulicy do kapelusza.

Nastaly dni pełne melancholii i wy-czekiwania.

Wreszcie wujek dowiedział się o swojej śmierci kiedy odpaliłem mu z paczki pięć plasterków salami. Trochę mało, ale przecież zmarł na katarzółdka.

— Wyjątkowo smaczne — chwalił pokarm, obliczając się długo po spożyciu. — Czy nie możesz jeszcze raz mnie uśmiercić?

Nie mogłem powieść zgonu wuja Karola. A nuż nadawcy darów prowadzą imienne kartoteki zmarłych Polaków w kraju? Jeżeli tak jest, to figurujemy jako naród o parę milionów mniejszy niż faktycznie.

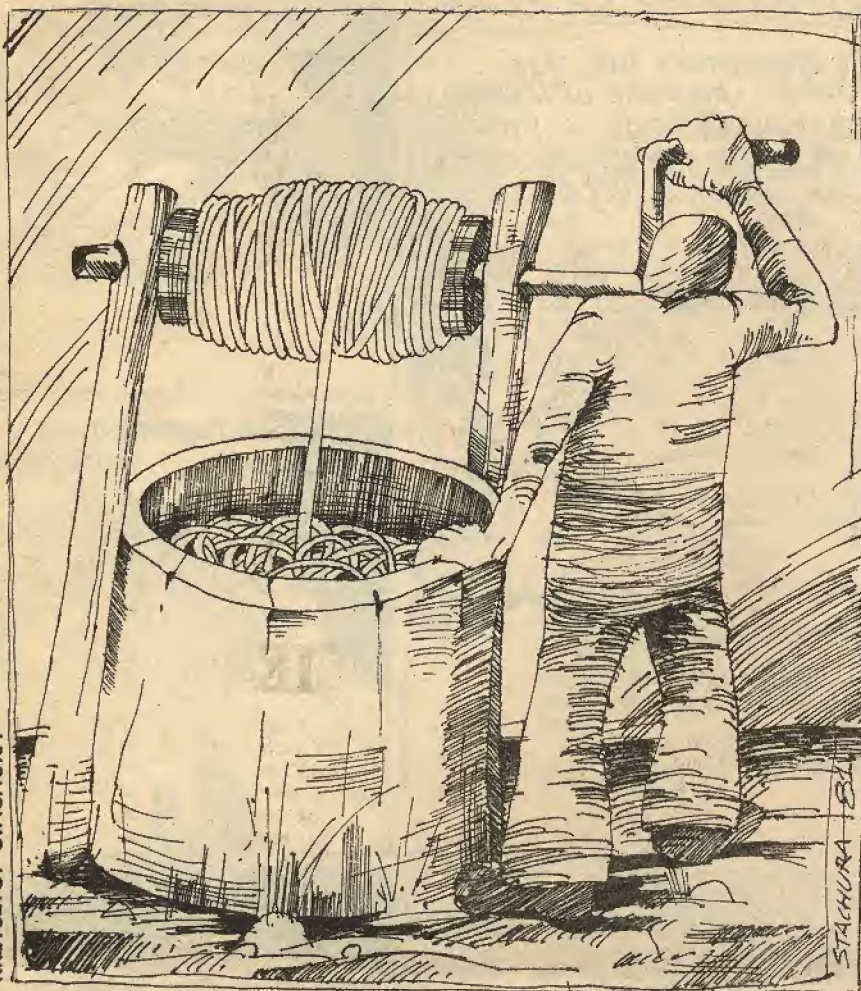
Kaligraficznym pismem, poplamionym od lez, uprzejmie donosiłem o kolejnych chorobach i szybkich zgonach: ciotki Ameliny (nie mogła pogodzić się ze śmiercią nieodżałowanego Karola), stryja Bernarda (zmarł z głodu), kuzynki Jeżyny (rzuciła się z rozpacz pod motocykl z przyczepą). Adresaci czytali o moim zadłużeniu w kasie pogrzebowej, które wzrastało w takim tempie, że niebawem mogło się zrównać z państwowym.

Rodzina w zasadzie godziła się na taki stan rzeczy.

Nie chciał tylko umierać dziadek. — Po co mi obiecujesz rajfłe? — wrzeszczał w konwulsji. — Za dziewczynkami latać już nie mogę. Amerykanie wiedzą wszystko dzięki sputnikom! Od-



MAREK POLANSKI



STACHURA

notują w grafiku i w swoim czasie za oszustwo dostaną kulę w łeb. Wiem co się dzieje w Salwadorze i Bejrucie.

Ale i bez śmierci dziadka stopniowo stawałem się krezusem. Rosło konto dewizowe. Dary odbierałem już własnym samochodem. Kościelne po służeniach do mszy i częstych spowiedziach. Rodził się projekt budowy domu jednorodzinnego z tarasem (7 milionów).

Niestety, któregoś dnia doznałem kolosalnego zawodu: wszyscy krewni byli już pochowani. Ostatnią przysługę oddałem stryjence Hili (zdeptana w kolejce po przydziałowy kilogram kartofli). W tej sytuacji zmuszony byłem podjąć decyzję szybkiego ożenku z kobietą wielodzietną, odrzucając koncepcję fikcyjnego tworzenia członków rodziny. A nuż znajdzie się jakaś parszywa owca i odnotuje w grafiku?

Absencję na weselu zapowiedział dziadek. Nie bardzo wiem dlaczego. Może z powodu krnąbrnego charakteru, albo też ze zmęczenia po ostatnim dyżurze na bazarze, gdzie sprzedajemy dary. □

JACEK SAWASZKIEWICZ

ZAPAŁ

Przyszedł do nas jeden znajomy pan, żeby pogawędzić. Poczęstowaliśmy go wodą mineralną i krakersami.

— Bardzo lubimy gawędzić na różne tematy — powiedział mój tato. — Szczególnie, jeżeli jest o czym.

— Tematów nie brakuje — zapewnił gość. — Możemy sobie pogawędzić na przykład o latach w kosmos.

Ojciec tyknął wody mineralnej i rzekł ostrożnie:

— Temat rzeka.

— Może i tak — zgodził się pan. — Ale w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego. Każdy by tam poleciał. Żeby tylko chcieli wziąć.

Przyjrzelśmy się panu z ciekawością.

— Przecież to piekielnie ryzykowne — zauważył tato.

Gość wzruszył ramionami.

— Ja się tam ryzyka nie boję — odparł. — Raz po pijaku wlałem na latarnię.

Z ZOOLOGII
Tchórze
śpiewają zawsze w chórze.
TADEUSZ GIGGIER



IRENEUSZ PARZYSEK

Pokręciliśmy głowami z niedowierzaniem.

— Mój tato ma stracha wejść nawet na dach, żeby naprawić antenę od telewizora — powiedziałem.

Z kolei pan pokręcił głową. — Naprawdę? — spytał. — Ja wam to mogę zrobić w try miga. Wystarczy jak sobie golnę dla kurażu.

— Lepiej nie — odrzekł ojciec. — Dach jest spadzisty.

Gość dopił swoją wodę mineralną i postawił przed nami pustą szklankę.

— Bez obaw — powiedział. — Tylko mi nalejcie.

Tatko z ociąganiem przyniósł z kuchni butelkę kartkowego winiaku. Znajomy pan poczęstował się kilka razy, a potem czknął i wstał z krzesła.

— Chodźmy! — rozkazał. Poszliśmy. Drabinę prowadzącą ze strychu na dach odnaleźliśmy z trudem.

— Może pan jednak zrezygnuje? — zaproponował tato. — Szczelinki są przerdzewiałe.

— Co to, to nie! — uparł się gość.

Później wspiął się po drabinie, otworzył kłapę w dachu i wystawił głowę na zewnątrz. Po pewnym czasie cofnął się nieco.

— Chyba za mało golnąłem — stwierdził.

Ojciec rozłożył ręce.

— Niestety, więcej nie mamy — oznajmił z żalem.

Znajomy pan znowu czknął, a następnie zleciał z drabinki.

To jakby osłabiło w nim upór. Nawet pozwolił odprowadzić się do domu. Ale i tak zrobił na nas dobre wrażenie. Jest odważny, ma dobre chęci i zapal. Tylko warunków nie ma.

wygnani z raju

-MAM DOŚĆ TEGO! WSZYSTKO SIĘ JUŻ
W MIE MNIE WZDRYGA:

Z RANA FIGA! NA OBIAD, NA KOLACJĘ - FIGA
I TAK PRZEZ CAŁY TYDZIEŃ, MIESIĄC I ROK WSZYSTEK
ZA CAŁY POKARM FIGA, A ZA STRÓJ - JEJ LISTEK!



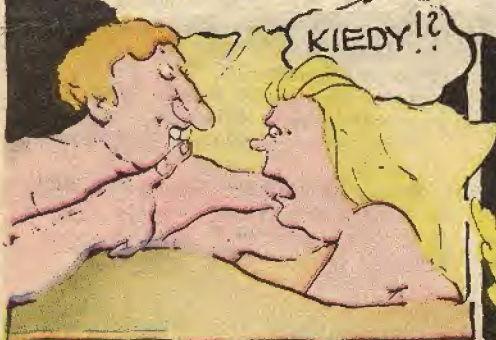
-A CHOCIAŻBY
MAJTEK



-TOŻ WYGNALI NAS STAMTĄD I ZYJEMY W KRAJU
GDZIE REFORMA I PŁACĄ W CIĄGŁEJ EWOLUCJI
DOJDZIEMY DO CEŁU!

KIEDY!?

-JAK NAJKRÓCEJ. DROGA JEST W PRAWDZIE
STROMA I DAŁEKO
LECZ Z PEWNOŚCIĄ NASZ WNUCZEK
MAJTEK SIĘ DOCZEKA



-MOGŁAŚ POD JABŁONKĄ Z WĘŻEM NIE RAJCOWAĆ!
GDYBYZ TO BYŁ KRASIŃSKI LUB SAM URBAN MIŁY,
MOŻE UWTIERZYŁBYM, IŻ NIE MIAŁAŚ SIĘ
BY SIĘ OPRZEC! JEDNAKŻE SYTUACJĘ ZMIENIA
FLIRT Z WĘŻEM, CO WYZBYTY LUDZKIEGO SUMIENIA
SAMOFINANSOWANIE ZOSTAWIŁ NAM W SPADKU
I PONURĄ ZAPOWIEDŹ WYSOKICH PODATKÓW...

-SKOŃCZ, ADASIU! BOWIEM
ŻE CHCESZ NA MNIE PR
PODZAS GDY PRZYZYCI
GDYBYS ODKRYŁ PRZED

HALINA SIBIŃSKA



O TY CHCESZ WŁAŚCIWIE, MOJA DOBRODZIKO?

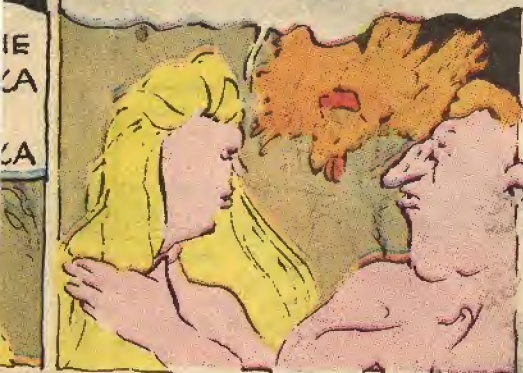
ZACHCIEWA CI SIĘ MOŻE SZAMPANA VEUVE CLUQUOT?



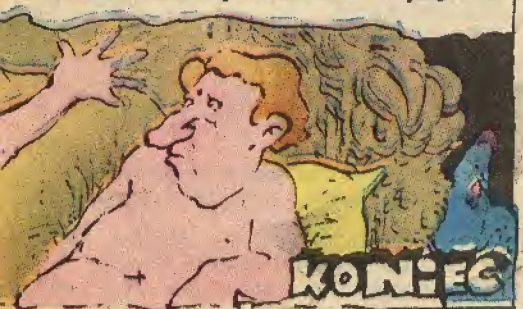
... WSZYSTKO MIAŁAM W RAJU!



- GŁUPIŚ, ADASZKU! NA IMIĄTKI DLA WNUKÓW PRACOWAĆ?



EM WNIOSKUJĘ Z TWJEJ MINY ZERZUCIĆ KRYZYSU PRZYCZYNY! MIAŁBYŚ WARTKO Z GŁOWY LUSTREM SWÓJ... LISTEK FIGOWY



KONIEC

MARIAN HIKEL

ZŁOTA RYBKA

W zeszłym tygodniu, okazjnie, za niewygórowaną cenę nabyłem akwarium z rybą. Była niezwykle oryginalna, o łusce, która lśniła dukatowym złotem.

Dumny z zakupu wpuściłem mój nabytek do akwarium, gdzie trzymałem najcenniejsze okazy. Dosypałem pokarmu, wypolerowałem frontową szybę i zasiadłem w fotelu, aby cieszyć się widokiem moich pupilek. Aby sycić się pełnią szczęścia otworzyłem butelkę chłodzonego „Żywca”. A i rybka przypatrywała mi się uważnie. Otwierała przy tym pyszczek, jakby usiłowała coś powiedzieć.

Wydawała się szeptać: — Piwał — Myślałem, że na żywca biorą tylko ryby drapieżne — oznajmiłem głośno i zarechotałem.

— Suszy mnie! — odczytywałem z ruchu pyszczka.

Drżąc z emocji ręką nalałem kilka kropel piwa na łyżeczkę i zbliżyłem do taflı wody. Rybka podpłynęła na powierzchnię i łapczywie spiła musujący płyn.

— Teraz mi lepiej! — głośno oświadczyła wystawiając z wody łebek, a po chwili dodała:

— Jeszcze!

— Czy ty jesteś...? — zapytałem zszokowany.

— Jasne! — powiedziała ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem. — Ta baśniowa Złota Rybka to właśnie ja! Jestem właściwie Złotym Rybem i mogę spełnić twoje trzy życzenia, tylko spełnię przedtem toast za naszą pomysłowość! — mrugnęła.

Napełniłem łyżeczkę i kiedy Złoty Ryb łapczywie spił piwo — szepnąłem swoje pierwsze życzenie.

Złoty Ryb aż zachłysnął się z wrażenia i poszedł pod wodę.

— Ta blondyna z piątego piętra? — bardziej oznajmił niż pytał, kiedy wypłynął na powierzchnię.

— Tylko czy spełnisz? — upewniałem się.

— Tego wprowadzić nie powinienem z pobudek moralnych, ale wyjątkowo... — rzekł pobłażliwie. — Mam nadzieję, że dalsze życzenia nie będą budzić moich skrupułów...

— Oczywiście! Chodzi mi o większe mieszkanie i podwyżkę — skwapliwie wyjaśniłem.

Zadowolona mina Złotego Ryba upewniła mnie, że tym razem nie ma wahań moralnych.

— Kiedy spełnisz moje życzenia?

— Spokojnie! Nie pali się! — oznajmił tak stanowczo jakby był ekspertem pożarnictwa. — Pierwej zrobisz coś dla mnie! Po pierwsze chcę mieć akwarium tylko dla siebie. Cała reszta towarzysza może iść do wanny!

W mig przeniósłem inne rybki do dużego stoja.

— Dobra! — oświadczył Złoty Ryb. — Teraz przystaw mi telewizor!

Przeniósłem telewizor do pokoju wypoczynkowego, zostawiając dzieciom tranzystorok radiowy.

Nazajutrz nic nie wskazywało, żeby moja sytuacja miała ulec zmianie. Przeciwnie, dostałem naganę za bałagan w kartotece.

Po powrocie do domu stwierdziłem, iż pękła mura w pokoju dzieci, które musiałem przenieść do przedpokoju.

Rozżalony stanąłem przed Złotym Rybem.

— I co z twoją obietnicą? — rzekłem twardo. — Gdzie morale?

— Na wszystko przyjdzie czas — odparł. — Grunt się nie gorączkować. A na dzisiejszy wieczór wpuścisz do mnie te trzy bladoróżowe rybki, które pływają w akwarium pod oknem. Do tego koniak z łyżeczki i dasz mi tatarę bez pieprzu! — A widząc, że zamierzam protestować dodał: — Bez gadania! Bo się rozmyślę i twoje życzenia może spełnić wtedy kto inny.

Zacisnąłem zęby i posłusznie spełniłem polecenie.

Następnego dnia wręczono mi ostrzeżenie za spóźnienie do pracy spowodowane całonocną próbą usunięcia szkód spowodowanych powodzią w pokoju dzieci.

Po powrocie do domu wziąłem z kuchni siateczkę i w lansadach zbliżyłem się do akwarium.

— Na dzisiaj wpuścisz mi tę rybę z akwarium stojącego na białej szafce — dysponował Ryb. — Do tego porcja whisky i... co jest, do diabła?! Odłowiłem go szybko i wpakowałem do niewielkiego stoika.

Jutro oddam go mojej głuchej cioci, która słynie z przyrządzania znakomitej ryby po grecku.

Będę miał przynajmniej satysfakcję moralną.

ZNOJNE WSPOMNIENIE

Wspominam cudzołóstwo z nią znojne, że ech! Każdej nocy najmniej pięciokrotny grzech.

LEKTURA

W twoich błękitnych oczach czytam, moja mała, historyjkę o twierdzy, która się... poddała.

JACEK CHRUSCIELEWICZ

LATWOWIERNA

Była bardzo łatwowierna
i wygodny miała piernat.
Ale w końcu, jak to bywa,
nie ma na nim kto spoczywać.

Choćby nadal chciała wierzyć
w siłę rozdawanych przeżyć,
piernat stracił na wygodzie
i nie służy jako bodziec.

Moral z tego trza zaczerpnąć
jako słone śledzie z beczki:
nie piernaty są dziś modne,
tylko P K O książeczki.

PORZUCONA NIE PŁACZE

Odszedł?...

To niewielka dla mnie strata.
Za małego miał on
— fiata!

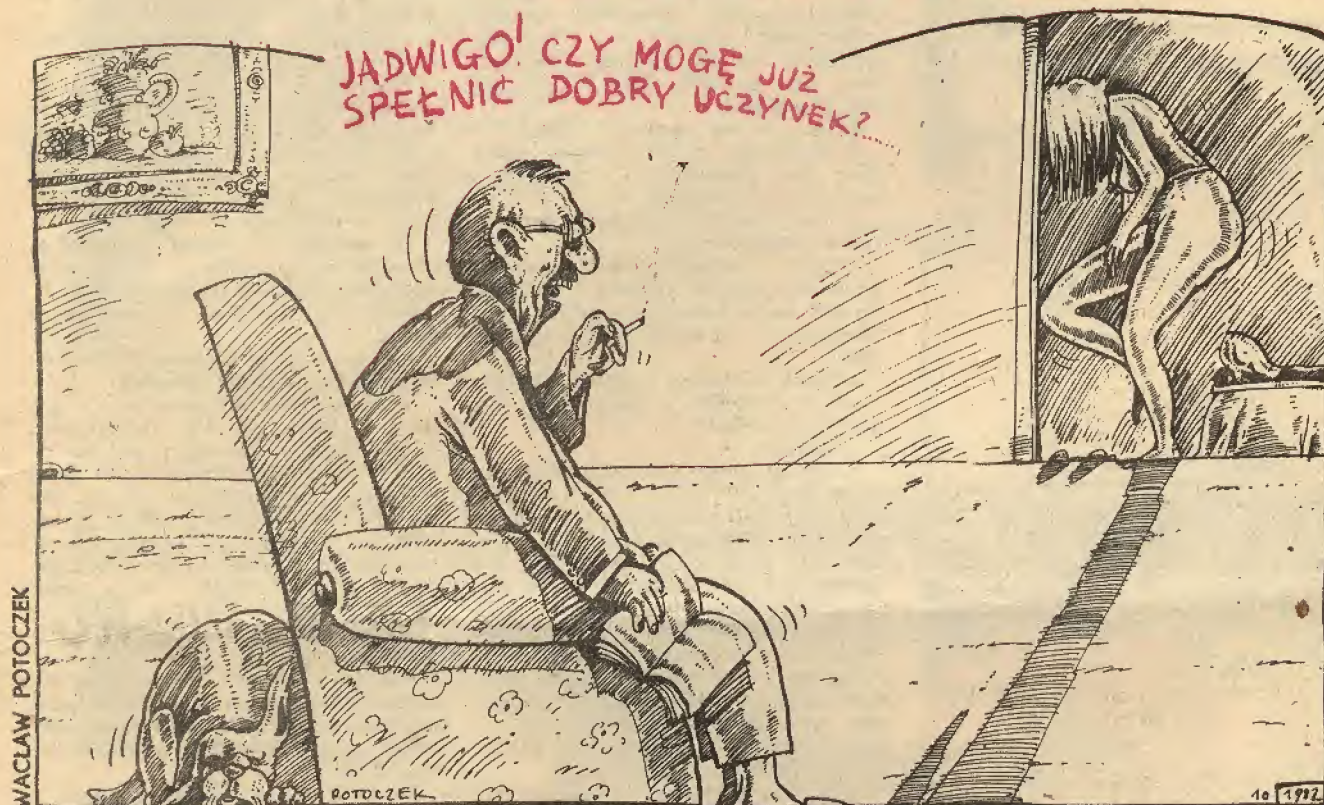
ZAWIEDZIONA

Zawiedziona małżeństwem
biegnie do ołtarza...
— Daj mi Boże, drugim razem
chłopa pantoflarza...

PYTANIE O WINĘ

On odebrał jej niewinność
i zostawił innym.
Ale pytam was kochani —
czy jest czemuś winny?...

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI (prosimy autora o podanie adresu)



JANUSZ PRZYBYSZ

RECEPTA NA SZCZĘŚCIE

Czy istnieje szczęście? Spróbujmy to ustalić w sondzie:

Piegowaty: — Szczęście jest, kiedy dwóch się kocha. To znaczy dwoje.

Pryszczaty: — Nie wiem, co to jest szczęście.

Chudy: — Szczęścia nie ma.

Łysy: — No, ja myślę, że szczęście jest, kiedy ktoś ma szczęście.

Zołzowaty: — Oczywiście, szczęście jest. Mówił mi wuj.

A więc, wiemy, co sprzyja szczęściu. Trzeba mieć szczęście oraz rodzinę i wuj, najlepiej w Ameryce.

Obecnie prześledzimy to zagadnienie na przykładach rodzinnych. Istnieją dwa zasadnicze typy rodzin: typ konsumpcyjny czyli hedonistyczny, gdzie ojciec

ziewa, matka się czochra, córka ćmi, a zięć dłubie w nosie i gdzie o szczęściu chyba nie może być mowy, oraz typ wytwórczy, zwany też pracowitym, gdzie tatka tka i każdy tka co, komu i kiedy się da. Czy jednak pracowitość ta może zapewnić szczęście? Popatrzmy na wymienioną rodzinę:

Matka: — Ołaboga, przecie muszę poprasować koszule!

Ojciec: — Zostaw matka te koszule, się nie morduj koszulami, lekarz ci zabronił, ja się pomorduję.

Córka: — Niech ojciec puści to żelazko, bo ojca prąd sieknie, wie ojciec, że drut przeżarło i że Franek będzie izolować.

Zięć Franek: — Tak, tak, zaraz będę

izolować, gdzieś tu plaster był zdaje się, matka, matka plastra nie widziała?

Matka: — Plastra to ja w ogóle nie widziałam, Franek.

Franek: — No to ja już nie wiem, czym ja mam izolować w tym bajzlu.

Ojciec: — To ty wiesz, Franek, ja ci powiem, ty nie izoluj, bo cię prąd sieknie i my zostawmy to prasowanie na jutro.

Matka: — Tak też najlepiej będzie. Szczęście ty miałeś ojciec, że cię nie siekło.

Tak więc już wiemy, że szczęście jest możliwe i co jest źródłem szczęścia: w żadnym razie nie należy prasować koszul. Prasowanie należy odłożyć na jutro. □

SILVA RERUM; STAJNIA AUGIASZA, CZYLI GROCH Z KAPUSTĄ

Co to jest groch z kapustą albo kapusta z grochem. wiemy, bo jedliśmy lub jadamy tę potrawę. Przenosi nie ta grochokapusta oznacza bala-gan panujący w pracowniach malarzy, „pissarzy”, że zapożyczę tę słowogrę, zdaje się od nieboszczyka Stonimskie-go. Łacińskie „silva rerum” (las róż-nych rzeczy) oznacza mniej więcej to samo co... kapustogroch.

Stajnia zaś Augiasza oznacza stoj-nię mitycznego greckiego króla, do tego stopnia zapełnioną łajnem, że si-lacz grecki Herkules musiał wpuścić w nią prąd rzeczny, aby owo końskie pomieszczenie doprowadzić do przyz-wołego stanu.

Dalem kilka nazw temu felietonowi, bo wzrok mój padł na świstek papie-ru, na którym zanotowałem początek dawnej śpiewki tak brzmiącej:

„Krakowski jestem flakier
I leć mam podchmielony,
Cylinder mam na bakier,
Hawelok wyczyszczony”.

Zaczęłem grzebać w leżących na podłodze papierzydlach i znalazłem tekst równie starej piosenki, chyba też krakowskiej:

„Przyleciała mała pszczołka
I zapylila kwiat.
Czemużeś mi, moja miła,
Tak zawiąła świat?”

Stanął przed moimi oczami rynek z Sukiennicami, stanął archaiczny kościół świętego Wojciecha, starożytna Wieża Ratuszowa, w której podzie-miach można się było napić czarnej kawy z malarzem Karolakiem, zjeść lo-dy i poznać z jego ówczesną, arcy-piękną znajomą. Przed oczami mojej duszy stanęła panorama widziana z wieży Kościoła Mariackiego, polichro-mowanego przez Matejkę.

Cała przeszłość krakowska sprzed o-puszczenia smoczego grodu na stały pobyt do łódzkiego Manczesteru za-jśniała przed moimi oczami wraz z Wisłą zaaugiaszoną przez niedaleki oświęcimski przemysł, miejscowe huty i inne zakłady równie mało atrakcyj-ne w sensie powonieniowo-zdrowot-nym.

Przez krótki czas zajmowałem po-kój w domu akademickim przy uliczce Kanoniczej, blisko Wawelu, gdzie mieszkał Stanisław Wyspiański, choć w mej pamięci kwatera owa kojarzy-ła się mniej z wielką twórczością Mistrza niż z niezbyt estetycznymi rea-liami tej krakowskiej dzielnicy, którą atakowały myszy, wiślana wilgoć i znie-chliwiała niedbałość tyków tego c.k. miasta.

Kiedyż, och, kiedyż są niedysiejsze brudy i śniegi, że strawestują Villona, wybitnego francuskiego poetę i oprysz-ka.

Abym przejął do spraw milszych na-szemu sercu, przytoczmy żartobliwą frazę Juliusza Słowackiego. Będzie

przylegać do całości, a pisana jest, jak przez dobrego żartownisia:

„Bo mnie matka miła
Na słowika urodziła,
A ja wziąwszy taki głos,
Ze słowika jestem kos...”

A to wszystko są nonsensa,
Te moje wierszyki nowe,
Gdzie się język mój waleśa
I bawi zęby trzonowe”.

Dzięki pomieszczeniu tu tych wszystkich drobiazgów mogłem znisz-czyć część luźnych zapisków zalega-jących mój „pissarski” stół, bardziej przypominający stajnię Augiasza, niżli szanujący się warsztat literacki. Nie pozbedę się jedynie głęboko zasie-działego w...mym sercu wspomnienia o arcy cudnej znajomej malarza Kara-laka, która fundowała nam lody. □

LESZEK MARUTA

UZDROWISKO

Pojechałem do uzdrowiska Sz. le-czyć skołatanę nerwy. Po całym roku wytężonej pracy, istnej harówki, na-leży mi się chyba jakiś odpoczynek, kuracja...

Uzdrowisko Sz., położone w prze-pięknej kotlinie, osłonięte ze wszy-stkich stron od wiatrów, otoczone le-sistymi górami, przecięte wstęgą by-strej, górskiej rzeki, słynie szeroko ja-ko ośrodek leczenia nerwic i chorób serca.

Z dworca PKS zabrał mnie dorożką woźnica-góral, ubrany w tradycyjne „portki” sukienne, barwny serdak i w okrągłym kapelusiku z muszelkami na głowie.

Wdychając ożywcze, krystaliczne po-wietrze, rozglądałem się z ciekawoś-cią po okolicy. Czulem, jak napięte dotąd nerwy rozluźniają się, odpre-żają. Oj, dobrze mi tu będzie, wy-pocznę, pospaceruję sobie, wód roz-maitych popiję.

W pewnej chwili uwagę mą zwrócił ogromny głaz, sterczący pośrodku rze-ki, na którego czubku rośło karłowate drzewko.

— Nie wiecie, gazdo, skąd się tu

cd. na stronie 12



wzięła ta skała, na samym środku rzeki? — zagadnąłem górala, chcąc rozmową skrócić sobie drogę do odległego sanatorium.

— A dyć, panocku, diabeł ci ją rzucił łońskiego roku, kępcy rozbiś sanatoryja, co je tu pobudowali, pas-kudząc całą okolicę. Ale źle wy-celował, bo nie ma ci on przecież celownika laserowego, jak te, tfu, hamerykańskie odrzutowce, co to je w telewizji pokazują, no i upuścił, bezkur-cyja jedna, między kamieńce. Tera, to popod tą skałą topielec żyje, wod-nik, wciągający ceprów w topiel, kie-dy to po pijaku wracają z dyskoteki.

Wzdrygnąłem się cały. Dreszcz przebiegł mi po plecach, kilka nerwów znów mi się zwinęło w kłębek.

Droga wiodła teraz skrajem lasu, wzdłuż moczarów, od których wionęło zimnem, wilgocią i pleśnią.

— A zaś hań tam, to dyskoteka jed-na stojąca, ino że się zapadła pod ziemię, razem z tańcownikami, bo ta-kie breweryje, panocku wyprawiali, tak ci tam dokazywali, gięli się kieby te witki wierzbowe i obla-piali bezwstydnie, że grzech ino i ob-raza boska. Toteż wszyscy pozamienia-ni zostali w żaby i jascurki, za wy-jątkiem dyskdokeja, który przemie-niony został w kamień, żeby zamilkł na wieki. W księżycowe noce, to i wi-dać w topieli te bezecne pary, jak tańszą i hulają po trzęsawisku, no a w beksięzycowe, to i światelko ko-lorowe jakieś mignie, i błysnie ca-sem z głębi ten, na jakże mu tam, stroboskop... Tfu! Sodoma i Gomora.

Pot zimny wystąpił mi na czoło. Nie będę ukrywał, że i ja czasem lubię pohasać sobie w dyskoteci dla czterdziestolatków.

Koń powoli człapał pod górę. Mgły wieczorne wypęły spod ziemi i roz-snuły się po stokach. W dali zahucza-ła sowa. Góral wskazał biczyskiem na rozburzone fundamenty przy drodze.

— Restauracja tu niegdyś stojała, giesu. Ale któregoś roku kierownik zwariował, zapisał się do komitetu antyalkoholowego i odmówił wysynku wódki. To wicie, panocku, co mu te bezkurcyje pijoki zrobili?

— No? — zapytałem z lękiem. Ostat-nio i ja stałe odmawiam wypicia, bo-daj kieliszka. Serce, nerwy, wątroba...

— Ano, przewiązanego rozzazonym do czerwoności łańcuchem utopili w potoku! I jesce mu, psiekrwie, śple-wali: „Z góry, z góry, nie z wysoka, wrzucimy go do potoka! Do potoka, do bystrego, nie wypłynie nigdy śniego!”

— Jezus Maria! — jęknąłem. Dosta-łem gęsiej skórki.

— Tak, tak, panocku, górale są mściwi, ale kochają ślebotę — cią-gnął woźnica. — Widzicie, hań, ten park i ten dom zdrojowy? Dyrekcja uzdrowiska się tu mieści. A miał ci ten dyrektór uzdrowiska zastępcę, bystrego, śmigłego, który zgola był i młodszy i zdolniejszy od niego. Prze-chodził go we wszystkim. To ten dyrech-tór taką do niego zapalał złością, taką

nienawiścią, że go zabił, a głowę urzniętą i rzucił w krzaki. A ta głowa, to pokazała się wkrótce, tu gdzie ta polana, i po dziś dzień się pokazuje. Dotąd nieboraka żatują w gminie: „Ten, to miał głowę...”

Prerażony do najwyższego stopnia, utkwilem błędny wzrok w ciemniejącej przede mną polanie, rozświetlo-nej tylko trupim światłem księżyca.

— No, już, chwała Panu Bogu, do-jedzamy szczęśliwie — westchnął gó-ral. — Juz i deptak widać. Diabeł się tu rok temu pokazał, przesedł jakby nigdy nic między wczasowicami i wla-ł do lasu. Narębał tam jawor. A kto chciał potem do krzty ten jawor zra-bać, to go zaraz pokreśliło...

— Zawracaj! — wrzasnąłem dziko. — Natychmiast zawracaj!

Popędziłem z powrotem w dół, co koń wyskoczy, w stronę dworca auto-busowego. □

ADAM BIENKOWSKI

ZOFIA LOREN W GRONIE POLSKICH AJENTÓW

Cały świat obiegra wiadomość, że słynna aktorka Zofia Loren przebywa-ła w więzieniu włoskim za nieplacenie podatków. Po wypuszczeniu z krymi-nalu Zofia Loren oświadczyła, że nig-dy już nie zagra w filmie włoskim. I tu duże brawa dla naszej rodzimej kinematografii! Po tym oświadczeniu — jak głosi fama — przedstawiciele Filmu Polskiego zwrócili się do znanej aktorki z propozycją zagrania u nas w kraju. Pani Zofia oświadczyła, że i owszem może, ale obecnie ma pro-bblemy z lokatą kapitału, do którego takie duże pretensje zgłasza włoski fiskus. I tu nastąpiło zderzenie dwóch, jak mówią marksści, nie antagonisty-cznych sprzężeń. Wielkich petrodola-rów artystki i plażującej firmy pt. „FP”.

Dyskusja w „Polityce” (prof. Pla-żyński kontra red. Kałużyński) bezli-tośnie obnażyła miserie naszej kine-matografii. Potrzeba nam dewiz, jesz-cze raz dewiz, taśmy i słynnych naz-wisk. Pani Zofia Loren spełnia te wa-runki, postanowiono więc oddać jej w agencję firmę pt. „FP”. Po to, by o-minąć pewnie i u nas dziwne przepisy podatkowe ustalono, że będzie to fir-

ma polonijna. Jak wiadomo, każdy słynny człowiek na świecie ma polskie pochodzenie. Historycy, specjaliści od drzew genealogicznych ustalili, że przodek pani Zofii był Polakiem i po-chodził z miasta Łodzi. Naukowcy spierają się tylko czy nosił on naz-wisko Lorentowicz, dosyć znane na Piotrkowskiej, czy Lorens, czy też La-renzweig. To ostatnie ze względów eksportowych byłoby najbardziej ka-sowe.

Faktem jest, że pani Zofia odwie-dziła Łódź (zamieszczamy zdjęcie je-dyne zresztą na świecie!), wytwórnię



ADAM BIENKOWSKI

filmową i podobno podpisała kontrakt na realizację filmu, w którym zagra główną rolę. Jest to bombowa farsa wg. scenariusza Zdzisława Krasieńskiego pt. „LA RECOMPENSATA”. W filmie tym weźmie również udział nasz słyn-ny zespół 2+1=5. Jesteśmy pierw-szym pismem kasowej informacji, które nie tylko ujawnia tę niecodzienną tran-sakcję lecz pragnie także zapewnić Czytelników, że o dalszych poczyni-aniach nowej firmy pn. „FILMPOLLO-REN” będzie informować na bieżąco. □

BOHDAN PIĄTKOWSKI

W RODZINIE

Po kilku robach, w czasie przerwy na herbatę zauważyliśmy, że Dyrek-tor posmutniał w stopniu wręcz za-trważającym. Sytuacja była o tyle nie-wytłumaczalna, że karta mu szła jak nigdy. Na współczujące pytanie o stan zdrowia uśmiechnął się smutno i od-parł:

— Moje zdrowie? Dziękuję... — na-brał tchu, jakby chciał kontynuować zdanie, ale machnął ręką i urwał. Widać było, że chce sobie użyć wy-wnętrzając się, ale potrzebuje zachęty.

— Dzieci? — zainteresował się Li-terat.

— Skąd dzieci? — zachnął się —

Wręcz przeciwnie! Kiedyś dwa dni straciłem na poszukiwania w księgach metrykalnych dokładnej daty urodzin ojca. Z ciekawości poszedłem dalej i zająłem się danymi, które dotyczyły mego dziadka po mieczu, a raczej po kądzieli, gdyż ojciec ojca był robotnikiem w przędzalni. Następnie znalazłem nazwisko dziada w księgach katastroficznych zanotowane przy kupnie splachetka ziemi pod domek, który pamiętam z lat dziecińczych i tak ostatecznie zbłądziłem na manowce. Zaczęłem poszukiwać korzeni.

— To nie tylko modne, ale i bardzo pouczające zajęcie! — entuzjastycznie mówił się Literat. — Czuć się związanym z ziemią dziadów, to wspaniałe uczucie!

Dyrektor bezradnie rozłożył ręce.

— Wszystko jest dobre, ale jedynie do czasu. Gdybym zatrzymał się na Marcinie, pradziadku — bandosie, lub jego ojcu Janie fernalu u hrabiego Przeniewierskiego, nie byłoby nieszczęścia, ale w zapiskach dworskich znalazłem notatkę, która na moją nieszczęsną głowę zvaliła lawinę.

— A których lat dotyczyła? — zainteresował się, jak zwykle rzeczowy, Mecenias.

— Notatka pochodziła z lat tysiąc osiemset sześćdziesiątych i od tego czasu w głąb dziejów, że tak powiem, nieszczęścia zaczęły się sypać na rodzinę. Oto okazało się, że mój pra-pra..., rewolucjonista i zesłaniec, Tomasz Ząb, był ni mniej, ni więcej tylko nieślubnym synem Szczęsnego Potockiego.

— Tego od Targowicy? — upewniłem się.

Dyrektor lekceważąco machnął ręką.

— Jeden Szczęsny to jeszcze nie nieszczęście, ale zrozumcie moje położenie, panowie: — nieoczekiwanie skuzynowałem się z całą arystokracją polską, francuską, austriacką, rosyjską, pruską, angielską i tak dalej, i tak dalej. Wystarczy sięgnąć do tablic gine... — zakrztusił się.

— Genealogicznych — współczująco pomógł Mecenias.

— O właściciel Genealogicznych. Jeszcze doniesie się, że łączą mnie więzy krwi z feudalnym możnowładztwem i... leżę. Teraz na pierwszym zakręcie każdy może mnie ustrzelić.

— Arystokracja naturalną koleją rzeczy skoliigacana była z domami panującymi — bezlitośnie rzekł Literat. — Jest więc pan skuzynowany z Piastami, Jagiellonami, Habsburgami, Tudorami...

Na Dyrektora nie można było parzyć bez współczucia.

— Po co mi były te cholerne korzenie? — zapytał łamiącym się głosem. — Nieświadomi żyją i dłużej, i szczęśliwiej.

— Mój drogi — uśmiechnąłem się ciepło. — Czy zastanowił się pan kiedyś nad takim faktem, że miał pan dwóch dziadków, ale aż czterech pradziadków i ośmiu propra...

— A co z tego? Czy to mnie uczyni bardziej sympatycznym dla naszych zakładowych jastrzębi? — żalił się.

— Chwileczkę! Prosta logika poucza,

że jeżeli każdy jest w takiej samej sytuacji z antenatami, którzy z pokolenia na pokolenie przystają mu jak króliki, a w Polsce około tysiąc czterechsetnego roku było mniej więcej milion mieszkańców, to jesteśmy ze sobą skuzynowani na zasadzie każdego z każdym. I to skoliigaceni i spowinowaceni wielokrotnie! Sprawa jest czysta jak izar! Każdy z pańskich oskarżycieli jest bliższym, czy dalszym kuzynem Kościuszki i „Diabła” Stadnickiego; bezmiennego, średniowiecznego rybaka i Kazimierza Wielkiego, Barbary Ubryk i Mickiewicza, a nawet i pana, tak że wszystko zostanie wśród swoich. Zresztą, jeżeli to pana może pocieszyć, to proszę sobie przypomnieć, że nigdzie się nie można tak serdecznie nienawidzić, jak w rodzinie.

Dyrektor popatrzył na mnie z roztkliwieniem.

— Mów mi wujul — zawołał i otworzył ramiona. □



LUDWIK GOLEC

ACETAL

IMIENINY

W środę wypadły imieniny docenta Ciechowskiego, nowego kierownika Zakładu Maszyn Przyciężkich. Ponieważ Zakład Maszyn Przyciężkich oraz Instytut Technologii Nietatwych od dawna łączyły kooperacyjne kajdanki, jednogłośnie uchwaliliśmy składkę na kwiaty i na krawat w stylu minionej epoki propagandy sukcesu. Wybraliśmy pięćosobową delegację: bukiet wręczała Krystyna, przez ostatnich dwanaście

lat pełniąca ofiarnie obowiązki miss naszego instytutu, choreografię opracował Tadek Scisły, doktor Współczesna wybrała — nie bez trudu — odpowiednie stroje z lekko przerzedzonych zasobów naszej odświeżonej garderoby, ja zająłem się ułożeniem tekstów życzeń, a nad całością czuwał docent Pila.

Część oficjalna przebiegła zgodnie z planem; wszyscy stanęliśmy na wysokości zadania.

— Jak sobie radzisz ze spadkiem po Kuszpielu? — zagalił docent Pila, gdy wraz z solenizantem zasiadliśmy przy ziołowej herbatce, aby zrealizować drugi punkt programu, zatytułowany „swobodna, twórcza dyskusja naukowców”.

Rozejrzeliśmy się dookoła.

Kulejące stoły dźwigały aparaturę za jakieś pięć milionów, ale na pierwszy rzut oka było widać, że nic do niczego nie pasuje, a i każdy aparat z osobna wyjątkowo nie nadaje się do prowadzenia badań przewidzianych harmonogramem.

Spora precyzyjnych detali stalowych rda uczyniła znacznie mniej precyzyjnymi.

Nalepki na dwóch nie rozpakowanych skrzyniach w rogu sali wskazywały jednoznacznie, że tajemnicza zawartość skrzyń przyczyniła się do wzrostu naszego zadłużenia w krajach drugiego obszaru płatniczego.

W niektórych maszynach brakowało części przydatnych kierowcom, rowerystom lub gospodyniom domowym.

Laboranci i młodszy pracownicy naukowcy sprawiali wrażenie zdyscyplinowanych tudzież przepojonych głębokim szacunkiem dla swego szefa, ale do pracy nikt się jakoś nie zabierał.

Na biurku leżał zakurzony biuletyn informacyjny sprzed pół roku.

Model maszyny przyciężkiej w gablocie reprezentował rozwiązanie techniczne, słusznie uznane za rewelację pod koniec lat czterdziestych.

— Retoryczne pytanie — stwierdził magister Scisły — skoro wszyscy doskonale widzimy, że styl pracy profesora Kuszpiela jest twórczo kontynuowany.

— Daj spokój, Tadek — syknęła dyskretnie doktor Współczesna — jeśli koniecznie chcesz Ciechowskiemu coś wygarnąć, nie musisz tego robić akurat przy imieninach.

Wbrew naszym najgorszym obawom twarz docenta Ciechowskiego rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Staram się, kolego, staram, aby nie wypaść gorzej od poprzednika. Powiem więcej: nie negując całokształtu osiągnięć profesora Kuszpiela trzeba również stwierdzić, że popełnił on, zwłaszcza tuż przed emeryturą, cały szereg błędów, które teraz musimy naprawiać. A więc nie ślepe naśladownictwo, tylko właśnie twórcza kontynuacja; to były, kolego, odpowiednio słowa — i docent Ciechowski poczęstował nas reglamentowanymi czekoladkami.

Czasem doprawdy trudno z góry przewidzieć, jaka opinia sprawi komuś satysfakcję. □



JACEK RUPINSKI

kartki z blekotnika

Listopadowy wieczór

Nie był to spokojny wieczór. Najpierw przyszedł Konio z kapryśnym Bożydarem, a później, całkiem wyčerpana, ciocia Helenka. Opadła na krzesło i chwyciła się za głowę.

— Co się stało? — zapytała babcia.

— Nic, tylko siedziałam w kinie przeszło trzy godziny — jęknęła ciocia Helenka.

— Musiałaś? — zdziwił się dziadek.

— Nie, ale chciałam zobaczyć „Tess”, ten głośny film Polańskiego — wytłumaczyła się ciocia Helenka.

— Aha — przypomniała sobie babcia. — On nakręcił kiedyś „Nóż w brzuchu”.

— Nie „Nóż w brzuchu”, tylko „Nóż w wodzie” — zgorzyszył się Konio.

— Tato, mnie się nudzi, ja chce do domu — powiedział Bożydarek.

— Zjedz czekoladkę i pobaw się trochę — rzekł z roztargnieniem Konio i dał Bożydarekowi torebkę ze słodyczami.

— A nie mogłaś wyjść przed końcem? — zwróciła się Lila do cioci Helenki.

— Kiedy byłam ciekawa jak się to skończy — przyznała się ciocia Helenka.

— To znaczy, że film był

ciekawym — stwierdziła babcia.

— Bardzo ciekawym — przyznała ciocia Helenka. — Ale mógł być krótszy.

— Czy to film o Mozarcie? — zapytała babcia.

— Babcia wszystko myli — powiedział Konio. — Mozart grał Polański w teatrze, a „Tess” to jego film na podstawie powieści Tomasza Hardy’ego.

— To jest bardzo smutna historia pięknej i uczciwej, ale biednej dziewczyny wiejskiej — ożywiła się jakoś ciocia Helenka. — Wszystkie jej nieszczęścia zaczęły się wówczas, gdy jej ojciec dowiedział się, że jest potomkiem bardzo starego, arystokratycznego rodu.

— Pewnie przewróciło się jej w głowie — wyraził przypuszczenie dziadek.

— Jej nie, ale rodzicom jakby troszkę. Matka znalazła jakąś bogatą krewną i wysłała tam Tessę, żeby pożyczyla pieniędzy. A tam spotkała syna właścicielki, Aleca. Przyjął ją do pracy, bo mu się podobała, a później uwodził. Ale ona go nie kochała i uciekła. Urodziła dziecko, które umarło i...

— Tato, mnie jest niedobrze — powiedział Bożydarek, który wyłonił się z kąta. Miał błędne spojrzenie i wypieki na policzkach. Babcia podbiegła do niego, pociągnęła nosem i krzyknęła:

— Jezus Maria, on jest pijany!

— Czy babcia zostawiła na wierzchu jakąś butelkę z alkoholem? — zaniepokoił się Konio. — Co ty pijeś syneczku?

— He, he, he — zarechotał dziadek. — Babcia nie zostawia takich rzeczy na wierzchu.

— Tyl... — czknął Bożydarek — ...ko czekoladki.

— Kupiłeś mu beczułki z likierem — powiedziała babcia ze zgrozą.

— Kupiłem czekoladki na jego kartkę, nie wiem co włożyli do torebki — zawstydzil się Konio.

Faktycznie, to były beczułki z likierem. Bożydarek dostał zsiadłego mleka i został ułożony na tapczanie.

— Na i co było dalej z tą Tessą? — zainteresowała się Lila, kiedy już zapanował spokój.

— Poszła do pracy, do farmy. A tam poznała Anioła, w którym bardzo się zakochała — podjęła wątek ciocia Helenka.

— Zakochała się w aniele? — zdumiała się babcia.

— To był syn pastora, miał na imię Angel, czyli po naszymu Anioł. On też się w niej zakochał i poprosił ją o rękę. A ona ze strachu wyznała mu całą przeszłość dopiero po ślubie. Wtedy on powiedział, że uważał ją za dziecko natury, a tymczasem ona jest pomiotem zwyrodniałej arystokracji.

— Tak jej powiedziały? — zdziwiła się babcia.

— Dosłownie — zapewniła ciocia Helenka. — On w ogóle pogardzał arystokracją, mówił, że jest robaczywa. A w pokoju miał „kapitał” Marksa. No i odszedł od niej, powiedział, żeby go nie szukała, że jak mu przejdzie, to sam wróci. A ona wróciła do domu, a tam było straszna nędza i kiedy umarł ojciec, to wyrzucono ich z domu. Wtedy ona zgodziła się na propozycję Aleca, zamieszkała z nim, a on pomógł jej rodzinie.

— No to niby dobrze się skończyło — z rozczarowaniem powiedziała babcia.

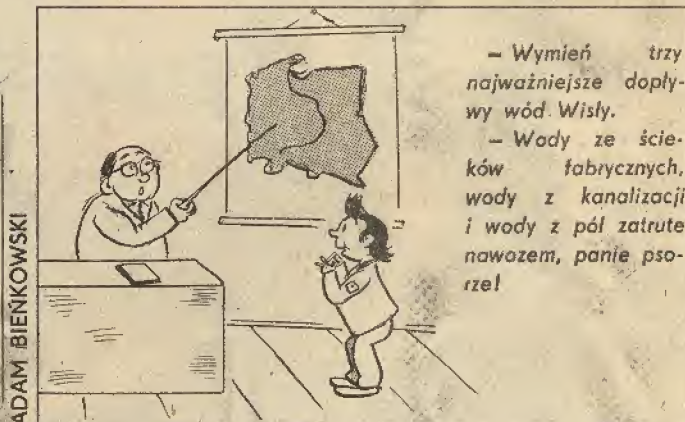
— Ależ skąd, to wcale nie koniec. Bo wtedy właśnie wrócił Anioł i błagał ją o przebaczenie, ale powiedziała, że już za późno i on odszedł na dworzec. A wtedy ona zabiła Aleca, poleciała za Aniołem i odjechali razem. I byli szczęśliwi, ale krótko, bo ją aresztowała policja.

— Wezmę kanapki, termos i pójdę na ten film, bo są luki w twoim opowiadaniu — postanowiła babcia.

— A ja raczej przeczytam książkę — zdecydował dziadek.

Na tapczanie, pochrapując, Bożydarek spał twardym pijackim snem.

T. WOJCIECHOWSKA



— Wymień trzy najważniejsze dopływy wód Wisły.

— Wody ze ścieków fabrycznych, wody z kanalizacji i wody z pól zatrute nawozem, panie psorzel!

karuzela

Czasopismo satyryczne Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. Adres redakcji: 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony bezpośrednie: 314-32, 406-46. Centrala: 293-00.

Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIENKOWSKI (zastępca

redaktora naczelnego), BOHDAN PIĄTKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK (red. techniczna), KAROL BADZIAK. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Numer zamknięto 20.X.1982 r. Zam. 2172 F-12, Nr indeksu 36254. Opracowanie graficzne numeru HALINA SIBIŃSKA.

